Rok III.

Nr. 50. **Nr. 50.**

TYGODNIK WIELKOPOLSKI.

Przedpłata ćwierćroczna wynosi 1 tal czyli 1 złr. 50 cent.

Czasopismo naukowe, literackie i artystyczne

Ogłoszenia po $1\frac{1}{2}$ sgr. od drobnego wiersza.

wychodzi w Poznaniu co Sobotę.

Prenumerować można na wszystkich urzędach pocztowych i w księgarniach.

Poznań dnia 13 grudnia 1873.

Fryderykowska Ul. Nr. 19.

Czy istniał Wilhelm Tell?

(Szkic historyczny.)

(Dokończenie).

Chciał widocznie Hemmerlin wystawić związkowych jako hołyszów i buntowników, aby odstręczyć od nich mieszkańców Zurichu. O historyczną prawdę wcale mu nie chodziło — z faktami obchodzi się w sposób arcydowolny i błędny. O Tellu, Gesslerze, o Rütli — nic tu jeszcze nie słychać. Dopiéro końcowi XV wieku daném było wydobyć te imiona. Około tego czasu (1471) pojawiła się niewiadomego autora kronika Białéj księgi, spisana w tomie archiwum z Obwalden, obejmującym akta układów, przymierzy i inne podobne dokumenta. Wedle niéj nasamprzód zaludniło się Uri za zgodą cesarstwa rzymskiego, poczém przyszli „Rzymianie“ do Unterwalden a wreszcie Szwedzi do Szwyc. Następnie ukazują się rządzcy, wysłani nie przez Albrechta, lecz już przez Rudolfa, po którego zgonie stali się zuchwalszymi (Gessler w Uri i Szwyc, Landenberg w Unterwalden) — opowiadanie o wołach Melchthala, o nowym domu Stauffachera i męztwie jego żony, o spisku Stauffachera, Fürsta, Melchthala i nieznanego po imieniu pasterza z Nidwalden w Rütli, o kapeluszu Gesslera, o strzale Tella w jabłko, o podróży łodzią po jeziorze, wyskoczeniu na wysepkę, o czynie na przesmyku, o wybudowaniu Zwing-Uri i zburzeniu zamków. O bitwie pod Morgarten natomiast nie ma tu wzmianki — dopiéro dotknąwszy związku w Brunnen, wraca poetyzujący kronikarz do prawdziwéj historji, którą doprowadza do r. 1426. Tak więc podanie utworzone w ciągu XVgo wieku występuje tu już wykończone i w zupełnéj postaci. Uderzyć każdego musi ta nagła powódź faktów, o których żaden kronikarz dotąd nie wiedział.

Niedługo potém ukazała się kronika, zawierająca owo podanie w prostszéj a więc starszéj formie. Jest to księga Melchiora Russ'a, pisarza sądowego z Lucerny, pisana r. 1482, z któréj przegląda dążność uczynienia punktem ciężkości opowiadania nie — sprzysiężonych w Rütli lecz Tella. Około niego wszystko się tu obraca; zabija jednak rządcę nie w przesmyku, lecz zaraz wyskoczywszy ze statku, co brzmi przynajmniéj trochę prawdopodobniéj niż inne wersje. U Russ'a dostaje się Tell do więzienia po prostu jako naczelnik spiskowych; o kapeluszu, strzale do jabłka i Rütli wie on równie mało jak o wązkim przesmyku górskim, co większa, nie zna nawet imienia rządzcy i od śmierci jego przechodzi bezpośrednio do bitwy pod Morgarten. Nie wspomina również o czasie Tellowego czynu.

W wieku XVI występuje znów jako kronikarz inny mieszkaniec Luzerny, Petermann Etterlin (1507), wywodzący pochodzenie ludności Uri od Gotów, Unterwaldenu od Rzymian a Szwycu od Szwedów, Gesslera zowie Grisslerem, co do reszty zaś idzie za Białą księgą, zdobiąc tylko jeszcze opowiadanie znanemi rozmowami między Gesslerem a Tellem.

Wkrótce po utworzeniu doczekało się podanie o Tellu dramatycznego opracowania, podczas gdy w liryce pojawiło się już przed napisaniem kroniki Russ'a. W r. 1513 dano w Uri widowisko ludowe p. n. „Ein hüpsch und lustig Spyl von dem frommen und ersten Eydgenossen, Wilhelm Thellen“ — a dawano je na tymże placu w Altdorf, na którym odgrywa się główna część podania o Tellu. Dramaturg idzie tu wiernie za opowiadaniem Etterlin'a, odstępując odeń tylko w drobnych szczegółach, z których najważniejszym jest ten,

iż Tell zostaje w końcu przewodnikiem gminy wiejskiéj w Uri.

Zupełnie od dotychczasowych opracowań odmiennie przedstawia rzecz tę autor wydanéj w r. 1548 kroniki szwajcarskiéj, Jan Stumpf. Wedle niego rozpoczyna się wojna z Habsburgami już w r. 1260 a kończy wypędzeniem rządzców krótko przed panowaniem cesarza Rudolfa; zamordowanie Gesslera i wypędzenie Landenberga odbywają się dopiéro w r. 1314. Diobald Schillin, z Luzerny, zowiący Gesslera „hrabią z Seedorf“, umieszcza nawet cały wypadek pod r. 1334.

Do pewnego ładu doprowadza chaotyczne te opowieści dopiéro słynny Egidius Tschudi (ur. 1505, umarł 1572). Wedle niego rozpoczyna się powstanie związkowych w r. 1300; Gessler i Landenberg zostają wysłani do Szwajcarji r. 1304; gwałt przeciw Baumgarten'owi dokonywa się r. 1306, przeciw Melchthalowi r. 1307; następuje budowa Zwing-Uri i kapelusz; szyderstwo Gesslera z Stauffachera i Melchthala oraz ich spotkanie w Rütli i powiększenie związku, opór Tella, strzał do jabłka i zabicie tyrana a w r. 1308 wypędzenie innych namiestników cesarskich i zburzenie ich zamków, z czém się łączy zgon cesarza Albrechta.

Tak więc podanie stało się dogmatem — po pewnym przeciągu czasu nastąpić miała epoka zwątpienia w ów dogmat a przytém nawet i fałszerstwa dla ocalenia baśni.

Pierwszym, który się odważył powątpiewać o prawdziwości narodowego mytu Szwajcarów, był fryburgski historyk Franciszek Guillimann, w r. 1607. Za argument posłużył mu fakt, że nie ma najmniejszego dokumentowego dowodu istnienia familji Tellów a w szczególności osoby Wilhelma Tella. W r. 1625 Jan Jakób Grasser z Bazylei wykazał blizkie pokrewieństwo podania o Tellu z opowiadaniem Saxa Grammatyka o strzelcu Toko.

Pragnąc stawić tamę dalszemu bezczeszczeniu świętego podania, dodającego tyle blasku ojczyznie, stał się ksiądz Megnet, proboszcz w Attinghausen w Uri, patrjotycznym fałszerzem. Dla usunięcia wszelkiéj wątpliwości o egzystencji Tella pozwolił sobie wszystkich członków familji Nell od r. 1675 do 1684 zapisywać do księgi kościelnéj pod nazwą Täll. Fałszerstwo skutkowało; przez resztę XVII i w XVIII wieku uważano w Uri powszechnie Nellów za prawdziwych potomków Tella, dopóki w r. 1711 nie wymarli ze śmiercią idjotycznéj żebraczki. Ciekawą jest przecież rzeczą, iż Nellowie dopiéro w XV wieku osiedlili się w Uri a nigdzie nie ma wiarogodnych dowodów o istnieniu jakichkolwiek Tellów. Skeptycyzm coraz więcéj ogarniał śmielsze umysły. W r. 1572 pleban Uriel Freudenberger w Ligerc wydał bezimienne pisemko p. n. „Guillaume Tell, fable danoise“, gdzie z jednéj strony czyn Tella piętnuje mianem „skrytobójstwa“, z drugiéj zaś ogłasza całą opowieść za naśladowaną z podania duńskiego o strzelcu Toko. Pamflet Freudenbergera wywołał między szwajcarskimi patrjotami powszechne oburzenie. Rząd w Uri polecił katowi spalić broszurę; lecz gdy się przekonano, że całopalenie niczego nie dowodzi, dopuścił się znów patrjotyzm szwajcarski nowych fałszerstw. I teraz fałszerzem był duchowny, kapelan Imhoff z Schattdorf, który w r. 1759 historykowi Zurlauben w Zug nadesłał kilka aktów, mających potwierdzać prawdziwość podania o Tellu. Były to: wyciąg z księgi kościelnéj w Schattdorf, gdzie imię „Walther de Trullo“ zamieniono na „Walther de Tello“ — wspomniane już zmiany „Nell'a“ na „Täll'a“, lichą łaciną pisany rzekomy wyjątek z zagubionéj kroniki rycerza z Klingenbergu, wedle którego Tell miał być dzierżawcą żeńskiego klasztoru zurichskiego w Bürglen, zięciem Walthera Fürst'a i bohaterem z pod Morgarten — oraz dwie rzekome uchwały gminy, po których nie ma już oryginałów a z których pierwsza (1387) zaleca coroczne procesje ze Steinen (rodzinnego miejsca Stauffachera) do Bürglen (rzekomego miejsca urodzenia Tella) i na odwrót, druga zaś z roku 1388 na życzenie 114 osób, które Tella miały znać jeszcze osobiście, rozporządza wystawienie kaplicy na jego pamiątkę.

Opierając się na tych fałszach, napisał Feliks Baltazar z Lucerny (1760) w dobréj wierze swoją „Obronę Wilhelma Tella“ — Bogumił (Gottlieb) zaś Emanuel Haller w Bernie miał w r. 1772 odczyt w stylu bombastycznym, kończący się następnym frazesem; „Ustąpcie, skeptycy i oddajcie cześć prawdzie! Był Tell i dał początek do odzyskania szwajcarskiéj wolności.“ Tymczasem umarł Freudenberger a Baltazar otrzymał od rady w Uri dwa złote medale. Zdawało się przeto, iż historja Tella ocalona — sam nawet sławny historyk Jan Müller pomieścił ją z wszystkiemi fałszami w swojém pomnikowém dziele; uniesiony fantazją, znane tylko dotąd jako miejsce zgromadzenia spiskowych Rütli uczynił sceną uroczystéj przysięgi!

Zarzuty czynione słusznie historykom nie stósują się do Szyllera jako dramaturga. Poeta mógł i powinien był zużytkować poetyczne podanie; dziejopis jest obowiązany badać je a w razie, jeśli nie wytrzyma krytyki, odrzucić bez litości.

Owocem podjętego co dopiéro ocenienia wszystkich źródeł, odnoszących się do podania o Tellu, jest: 1) że takowe w bardzo ważnych kwestjach, tak w podaniu czasu jako też w imionach działających osób i ich znaczeniu, zostają z sobą w zupełnéj sprzeczności; 2) że żaden pisarz XIV wieku nic wie nic o powstaniu związkowych przeciw rządzcom czyli namiestnikom cesarskim i o powstałych ztąd wypadkach; 3) że nie ma dowodów istnienia familji Tellów; 4) że żadne źródło z XIV wieku nie wie ani o Gesslerze a tém mniéj o „Hermanie Gesslerze z Bruneck“, jak go zowie Müller, natomiast jest faktem dokumentami stwierdzonym, ze zamek Küssnach aż do r. 1350 należał do rodziny tegoż imienia, w ogóle zaś żaden zamek związkowych nie należał do Gesslera; że więc 5) całą historją o Landenbergu i Gesslerze, o Melchthalu i Baumgartenie, o domu Stauffachera i Wilhelmie Tellu, o kapeluszu na tyce i o strzale do jabłka, o ciasnym przesmyku górskim i t. d. do krainy mytów zaliczyć należy. Toczono spór o to, czy rzeczone podanie zawdzięcza swój początek ludowi czy też pisarzom. Zdaniem naszém cały układ powieści przemawia za drugiém przypuszczeniem; jest on zbyt systematyczny, zbyt wyszukany, aby mógł być płodem poezji ludowéj. Świadczy o tém również i wybór imion dla wymyślonych osób, imion o historyczném lub filologiczném pochodzeniu.

Nader umiejętnie rozdzielono owych rządców, popełniających gwałty. Gessler w Uri i Szwyc, on sam w Uri, jego podkomendny czy zastępca w Szwyc, Landenberg w Unterwalden, on sam w Obwalden, jego zastępca Wolfenschiessen w Nidwalden. Każdy dopuszcza się bezprawia: Gessler na Tellu, rządzca z Lowerc na dziewczęciu z Arth, Landenberg na Melchthalu a Wolfenschiessen na Baumgartenie. Czyż to nie dowcipnie i zręcznie ułożone! Szkoda tylko, że uczony autor zapomniał, iż Obwalden nie widziało nigdy pługa, któryby woły Melchthala ciągnąć mogły. Pozostałe gwałty, jak oślepienie starego Melchthala, znajdują dość analogji w historji starożytnéj i orjentalnéj, owe uwiedzenia kobiét n. p. w Lukrecji. Kapelusz na drągu oznaczał z dawien dawna zwierzchnictwo państwa. Myśl zaś o strzale do jabłka polega na szczepowém podaniu, rozszerzoném wśród wszystkich germańskich ludów, którego bohaterem w Norwegji jest kowala Wölunda brat Eigil, w Danji Toko (u Saxa), w Anglji (w pieśni ludowéj) William de Cloudesly, nad Renem niejaki Punker. Podanie o strzelcu Toko uzupełnione jest również opisem

burzy, z której bohater cudownym sposobem uchodzi cały, jako też zabiciem tyrana w lesie. Imiona namiestników cesarskich Gesslera i Landenberga są imionami znanych austrjackich wasali w Aargau i Thurgau, nie stojących przecież w żadnym stósunku do Szwajcarów, imiona sprzysiężonych Waltera Fürsta i Wernera Stauffachera wzięte są z prawdziwych w dokumentach figurujących osób, Melchthala i Wolfenschiessen'a od miejscowości. Ale Tell? Nazwę tę najtrudniéj wytłómaczyć. Nie nosiła jéj w owym czasie żadna znana osobistość; lecz sposób zastósowania takowego może nas objaśnić co do jego znaczenia. „Gdybym był rozważnym (besonnen) nie zwałbym się Tellem", mówi on. Imię to oznacza więc niewątpliwie odważnego, zaciętego, niebacznego, szalonego (toll). Zbyt uczoném byłoby wyprowadzanie téj nazwy od telum (strzała). „Tell" jest nadto sylabą źródłosłowu wielu miejscowości szwajcarskich, jak Tell, Telleren, Tellenwil, Telligen i t. d.

Tak więc powiastka o Tellu, lubo bardzo ciekawa i piękna, z księgi dziejów ustąpić musi stanowczo i nieodwołalnie. Nic tu nie pomoże kondolencja pewnych sentymentalnych indywiduów, wylewających łzy rozczulenia nad rzekomém odarciem historji z najpiękniejszych jéj epizodów. Nie dawno jeden z takich idealistów smutnéj postawy, korespondent warszawski do pewnego galicyjskiego pisma, w braku materjału kronikarskiego puszczający się i na pole historyczne, po którém się błąka jak Marek po piekle, unosi się strasznym gniewem na niemieckich historyków za twierdzenie, że „Tell nigdy nie istniał, że to legenda, że bitwy na Psiém polu także nie było", — i pełen jest obawy, aby wkrótce nie powiedzieli, „że Bolesław Chrobry to myt, że Bolesław Śmiały nigdy nie zajrzał do Kijowa, że Kazimierz W. to także baśń ludowa, to kłamstwo kronikarzy." Biedny korespondencie, pohamuj twe niewczesne żale i przestrach płonny! Gdybyś zamiast uszczęśliwiania świata płodami swojego pióra zajrzał choć trochę do poważnych dzieł historycznych, gdybyś zaczerpnął bodaj rudymentów wiedzy dziejowéj, przekonałbyś się, jaka przestrzeń dzieli pomięszane przez ciebie rzeczy — dowiedziałbyś się, że wszyscy badacze i krytycy historyczni razem wzięci nie zdołaliby nam zaprzeczyć naszych Bolesławów i Kazimierzów — i uwierzyłbyś, że Tella i Psiego pola nie ma co żałować — boć czy była bitwa pod Psiém polem czy nie, zawsze Krzywousty wyszedł zwycięzko z wojny z przeważającemi siłami Niemców, a czy istniał Tell czy nie, zawsze Szwajcarowie wybili się z pod austrjackiéj przemocy. Zwycięztwa pod Morgarten, Laupen, Sempach, Näfels i t. d. są nierównie wspanialszemi i większemi czynami aniżeli mytyczny strzał do jabłka i zamordowanie Gesslera; autentyczne zaś, pergaminowe listy związkowe z r. 1291 i 1315 daleko pewniejszemi dokumentami niż wymyślona przez Jana Müllera przysięga związkowych w Rütli. Egzystencja niepodległéj Szwajcarji jest faktem, czyny zaś jéj bohaterów tak ważne odniosły następstwa, iż nie potrzeba zaprawdę baśni i opowiadań dla wielkich i małych dzieci, aby je uznać za prawdziwe.

Klemens Kantecki.

HELENA.

Powieść Turgenjewa.

(Ciąg dalszy.)

— A tu, ciągnął Szubin daléj, podnosząc zwolna nakrycie następnego posągu, — ponieważ wedle najnowszych pojęć estetyki artysta posiada ten godzien zazdrości przywilej, że wszelki, bodaj najbrzydszy temat podjąwszy, przetwarza go w sobie na perłę sztuki i piękna, więc też przy téj perle numer drugi pozwoliliśmy sobie zemsty nie gentlemańskiéj jak poprzednia, ale postąpiliśmy sobie en canaille.

Zręcznie zrzucił nakrycie i oczom Bersenjewa ukazał się posążek w smaku Danta tegoż samego Insarowa. Trudno było znaleźć coś złośliwszego i dowcipniejszego zarazem. Młody Bułgar wyobrażonym był jako baran stojący na tylnych nogach z głową pochyloną do silnego rogów uderzenia. Tajemniczość, w jaką się chętnie otulają ci, co się przeceniają, gotowość do sporu, upór, ograniczenie, widoczne były w fizjonomji „małżonka wełniastéj owcy", a obok tego podobieństwo było tak zdumiewające, tak wybitne, że Bersenjew nie mógł się powstrzymać od głośnego śmiechu.

— Nieprawdaż, że żart wyborny? spytał Szubin, — czy poznajesz bohatera? Mamże i to posłać na wystawę? Nie, mój kochany, to ofiaruję sam sobie w dniu moich imienin.

Bersenjew podniósł z ziemi płótno i obrzucił niém posążek.

— O ty mój szlachetny! rozpoczął Szubin. I któryż to tam z mężów historji uchodzi za szczególniéj szlachetnego. Zresztą mniejsza o to.

Teraz jednak, ciągnął daléj uroczyście i smutnie, podnosząc trzecie płótno z jakiéjś dość znacznéj objętością glinianéj masy, — teraz zobaczysz coś, co ci będzie dowodem pokory i bystrości spostrzegawczéj twego przyjaciela. Przekonasz się o tém powtórnie, że jako prawdziwy artysta czuł on potrzebę i korzyść wymierzenia sobie policzka. Patrz!

Płótno opadło i Bersenjew spostrzegł dwie zrosłe z sobą głowy, jednę obok drugiéj... Nie zaraz pojął, co to znaczyć miało, ale przyjrzawszy się uważniéj, poznał w jednéj z nich Annuszkę, w drugiéj własny Szubina portret. Były to jednak raczéj karykatury, niż portrety. Annuszkę przedstawił Szubin silną, dobrze zaokrągloną dziewczyną, z czołem nizkiém, oczyma zapuchłemi i śmiało zadartym noskiem. Lubieżne usta okrążał wyzywający uśmiech; całość twarzy była uosobieniem zmysłowości, beztroski i zuchwalstwa. Siebie przedstawił Szubin jako członka pijackiego bractwa, wynędzniałego, z zapadłemi policzkami, obwisłemi w około twarzy kosmykami rzadkich włosów, osłupiałym wzrokiem i ostrym jak u trupa nosem.

Bersenjew odwrócił się ze wstrętem.

— Jak ci się podoba ta parka, bracie? spytał Szubin. — Czy nie podjąłbyś się układu stósownego napisu, któryby można pod tą pracą położyć? Do obu innych sam już wymyśliłem; pod popiersiem będzie: „Bohater, który zamierza wyswobodzić swą ojczyznę"; — pod statuetką: „Z drogi, Szwaby!" A coby tu podpisać... jak myślisz?... „Przyszłość artysty Pawła Jakowlewicza.." Dobrze?

— Słuchaj, odpowiedział Bersenjew, — czy też to warto było tracić czas na takie... Nie mógł znaleźć odpowiedniego wyrazu.

— Brudy? chcesz powiedzieć. Nie, bracie, daruj ale, jeśli co będzie na wystawie, to chyba to tylko!

— Doprawdy, to są brudy, powtórzył Bersenjew. Jakież bo to głupstwo, tobie brak całkiem usposobienia do tego rodzaju rzeczy, zadajesz kłam samemu sobie.

— Tak sądzisz? spytał Szubin ponuro. Jeśli dziś nie mam tego rodzaju usposobienia a z czasem ono mi przyjdzie, to nie moją będzie to winą, ale... pewnéj osoby. Wiesz co, dodał z tragiczném czoła zmarszczeniem, ja już próbowałem się rozpić!

— Nie kłam téż!

— Słowo honoru, próbowałem, odpowiedział Szubin z uśmiechem i znowu odzyskał poprzednią wesołość, — ale w tém nie ma nic przyjemnego, znieść tego nie mogę a nazajutrz czuję tylko szalony ból głowy. Już dawno mi powiedziano, że na tém polu do niczego nie dojdę, bo, jak się ktoś z wtajemniczonych wyraził, butelka nie ma mi nic do powiedzenia.

Bersenjew zamierzył się, jedném uderzeniem chciał on rozbić grupę.

— Daj pokój, nie rozbijaj, niech to pozostanie dla mnie jako przestroga, jak postrach.

Bersenjew się rozśmiał.

— W takim razie pozostawiam to straszydło na wróble, odrzekł, — i niech żyje prawdziwa, czysta, boska sztuka!

— Niech żyje! zawtórował Szubin. — Pod jéj tchnieniem to co dobre zamienia się w lepsze, a złe gdzieś znika!

Przyjaciele serdecznym uściskiem ręki poparli ten okrzyk i rozstali się.

XXI.

Pierwszém wrażeniem jakiego doznała Helena nazajutrz po przebudzeniu, była radosna jakaś obawa. — Czy to prawda? Czy to prawda? zapytywała sama siebie a serce jéj nie mogło objąć tego szczęścia. Wspomnienia tłumem cisnęły się w koło... tonęła w nich myślą. Potém nastał znów dla niéj poprzedni spokój uroczy. Ale już tego samego ranka opanował ją dziwny niepokój a następnego dnia była bardzo smutną. Mogła teraz wprawdzie zdać sobie sprawę z tego czego dotąd pragnęła, za czém tęskniła tak długo, ale nie czyniło to łatwiejszém jéj położenia. Wiecznie pamiętne spotkanie wyrzuciło ją na zawsze z dotychczasowéj kolei, a mimo to wszystko w około niéj szło dawnym porządkiem, jakby się nic nie odmieniło. Próbowała kilkokrotnie napisać list do Insarowa, ale nie mogła: wyrazy stawały jak martwe na papierze, nie było w nich jéj myśli, jéj ducha — nie było prawdy. Dziennik zamknęła; pod ostatniemi jego wyrazami zrobiła kreskę. To, co on zawierał, należało do przeszłości, a ona żyła całą myślą i całą swą istotą w przyszłości. Smutno jéj było na sercu; — smutno ilekroć siedziała z matką, z tą matką, która nie wiedziała o niczém a która przecież powinna była dzielić jéj myśli; czuła, że to było niesłusznie. Zdawało jéj się, że jakieś bezustanne popełnia kłamstwo; oburzało ją to; niejednokrotnie chciała już wszystko wyznać, niech się co chce stanie potém. — Czemuż bo mnie Dymitr, myślała, nie zabrał zaraz wtedy z sobą z téj kaplicy? Nagle poczęła obawiać się wszystkich, nawet Uwara Iwanowicza, który teraz więcéj niż kiedykolwiek miał minę zdumioną i częściéj w bieg puszczał swe palce. Nie snem już wydawało jéj się całe otoczenie; kamieniem olbrzymim ciężyło jéj ono i przygniatało strasznie, zdało jéj się, że zewsząd słyszy wyrzuty, że w około siebie widzi nieukontentowanie, że wszystko ją wyzywa do walki, że woła: — Rób co chcesz, nie przestaniesz nigdy do nas należeć! Czuła wstyd i wyrzuty sumienia za własne myśli. — Zawsze to przecież pozostanie moim domem, myślała, — moją rodziną, moją ojczyzną... Nie, to już nie twoja ojczyzna, nie twoja rodzina, wołał głos inny. Obawiała się mimowolnie i gniewała na swoją małoduszność. Zaledwie weszła w fazę cierpienia a już ją opuszczała cierpliwość... Czyż to mu przyrzekła.

Nie zaraz zapanowała nad sobą. Przeszedł tydzień, po nim drugi... Helena była spokojniejszą i odnalazła siebie w tém nowém położeniu. Napisała dwa krótkie listy do Insarowa i sama je na pocztę odniosła: za żadne skarby świata nie pozwoliłaby służącéj uchylić rąbka zasłony, okrywającéj jéj tajemnicę — był w tém i wstyd i duma. Już poczęła oczekiwać jego przybycia... Ale zamiast niego zjawił się pewnego pięknego poranku Mikołaj Artemjewicz.

XXII.

Jeszcze nikt nigdy nie widział ex-porucznika gwardji Stachowa w tak złym humorze a równocześnie tak pełnego głębokiéj w siebie ufności i tak przejętego ważnością chwili jak dnia tego. W kapeluszu i paletocie wszedł wolnym, ciężkim krokiem do saloniku, stanął przed lustrem i długo przypatrywał się sobie kołysząc głową poważnie i przygryzając wargi. Anna Wasilewna przyjęła go pozornie z obawą, w rzeczy zaś saméj z radością; był to zresztą jéj zwykły sposób przyjęcia. Nie zdjął nawet kapelusza, nie powitał jéj, Helenie tylko podał do pocałowania rękawiczkę. Wreszcie rzucił się na fotel, zażądał kawy i wtedy dopiéro zdjął kapelusz. Przyniesiono mu kawę, wypił szklankę i kolejno zmierzywszy oczyma każdego z obecnych, wycedził przez zęby:

— Sortez, s'il vous plaît; a zwracając się do żony, dodał: — et vous, madame, restez, je vous prie.

Wszyscy prócz Anny Wasilewny wyszli; uroczystość, jaką Mikołaj Artemjewicz się otoczył, odjęła biednéj jego żonie całą przytomność; głowa poczęła jéj drżeć z wielkiego wzruszenia, oczekiwała czegoś niezwykłego.

— Cóż się takiego znów stało? zawołała skoro tylko drzwi się za odchodzącymi zamknęły.

Mikołaj Artemjewicz spojrzał na nią obojętnie.

— Nic nadzwyczajnego; czemu téż masz pani śmieszny zwyczaj przybierania miny jakiéjś na rzeź prowadzonéj ofiary, rzekł skrzywiwszy usta. Chciałem was zawiadomić tylko, że dziś będziemy mieli na obiedzie nowego gościa.

— Kogóż to?

— Jegora Andrejewicza Kurnatowskiego, nie znacie go, jest naczelnym sekretarzem w senacie.

— Dziś więc będzie on u nas na obiedzie?

— Tak.

— I dla tego aby mi to powiedzieć kazałeś wszystkim się oddalić?

Mikołaj Artemjewicz znowu spojrzał na żonę, ale tym razem ironicznie.

— To panią dziwi? powstrzymaj się pani jednak z swym podziwem.

Zamilkł i Anna Wasilewna milczała również chwilę.

— Pragnęłabym jednak... rozpoczęła wreszcie.

— Wiem, przerwał jéj nagle Mikołaj Artemjewicz, — że od dawien dawna uważałaś mnie pani za niemoralnego człowieka.

— Ja?... wybąknęła zdziwiona Anna Wasilewna.

— Być może niebezpodstawnie, nie chcę przeczyć, żem nieraz może dawał pani słuszny powód niezadowolnienia.

Annie Wasilewnie siwki przyszły na myśl.

— Jakkolwiek sama pani przyznasz, że przy wiadomym stanie twego zdrowia...

— Ależ ja wam żadnych nie czynię zarzutów, Mikołaju Artemjewiczu.

— C'est possible; bądź co bądź nie myślę się usprawiedliwiać. Czas — przyszłość — mnie usprawiedliwią. Poczytuję sobie jednak za powinność zapewnienie pani, że moje obowiązki znam i że je wykonuję dbając o dobro powierzonéj mi... powierzonéj mi rodziny.

— Co to wszystko może znaczyć? myślała Anna Wasilewna.

Biedaczka, nie wiedziała, że ubiegłego wieczora właśnie, w rogu kozetowego pokoju angielskiego klubu następna toczyła się rozmowa. Prowadzono spór o to, że Rosjanie nie odznaczają się zdolnością do speech'ów; — Któż u nas umie przemawiać? Nazwijcie mi bodaj jednego! zawołał jeden z sprzeczających się. — No, Stachow na przykład, odpowiedział drugi i wskazał stojącego nie daleko Mikołaja Artemjewicza, który byłby mógł gwizdać z radości.

— Na przykład, ciągnął Mikołaj Artemjewicz, — moja córka Helena. Czy nie uważasz, że czasby jéj już było postawić krok stanowczy na drodze życia... iść za mąż chciałem powiedzieć? Bo wszystkie te filozofje i filantropje dobre są tylko do pewnego stopnia, do pewnego wieku. Czas już, żeby raz zeszła z tych sfer mglistych, żeby się zrzekła towarzystwa wszelkich artystów, studentów i nieznanych jakichś Montenegrów i żeby się stała taką jak wszyscy.

— Jak mam sobie tłumaczyć wasze słowa? spytała Anna Wasilewna.

— Proszę poświęcić mi chwilę uwagi, odpowiedział Mikołaj Artemjewicz z lekko szyderczém ust skrzywieniem. — Powiem wam prosto, bez omówień: szukałem umyślnie znajomości, przyjaźni tego młodego człowieka, pana Kurnatowskiego, w nadziei, że zostanie moim zięciem. Pozwalam sobie ufać, że skoro go pani poznasz, nie posądzisz mnie ani o stronność, ani o pospiech w wydaniu o nim sądu. Wyborne wykształcenie prawnicze, eleganckie obejście, lat trzydzieści trzy, urząd naczelnego sekretarza, ranga koleżkiego radzcy, order Stanisława na szyję — oto jego zalety. Mam nadzieję, iż nie zechcecie odmówić mi sprawiedliwości, że przyznacie, iż nie jestem przecież owym père de Comédie, który marzy wyłącznie o dostojeństwach; ale sama mówiłaś mi, że Helena Mikołajewna znajduje przyjemność w towarzystwie ludzi poważnych, Jegor Andrejewicz należy do nich właśnie; z drugiéj strony córka moja ma słabość do szlachetnych czynów; dowiedzże się pani więc, że Jegor Andrejewicz skoro tylko dobił się możności, rozumiesz mnie, możności utrzymania się własną pracą, zrzekł się natychmiast rocznéj pensji, którą mu przeznaczał ojciec, na korzyść swych braci.

— A któż to jest jego ojciec? spytała Anna Wasilewna.

— Jego ojciec? Jego ojciec jest także głośnym i zacnym człowiekiem, dans son genre, wysoce surowych obyczajów, un vrai stoïcien, ex-major, jeśli się nie mylę, obecnie zaś zarządca dóbr hrabiego B.

— Ah! zawołała Anna Wasilewna.

— Ah! po cóż to ah? podjął Mikołaj Artemjewicz. — Czy i pani także nie pozbyłaś się jeszcze przesądów?

— Przecież ja nic nie powiedziałam, usprawiedliwiała się Anna Wasilewna.

— Nie, pani zawołałaś ah!... Bądź co bądź uważałem za potrzebne uwiadomić panią o moich zamiarach i pozwalam sobie myśleć. pozwalam sobie ufać, że pan Kurnatowski zostanie przyjętym à bras ouverts. Boć to nie to samo, co jakiś tam nieznany Montenegr.

— Naturalnie, ale trzebaby zawołać kucharza i poczynić niektóre zmiany w dyspozycji obiadu.

— Pojmiesz pani, że to nie do mnie należy, rzekł Mikołaj Artemjewicz, wstał, włożył na głowę kapelusz i gwiżdżąc wyszedł do ogrodu. (Ktoś mu kiedyś powiedział, że gwizdać można tylko w własnym domu, na wsi i w rajtszuli). Szubin zobaczył go z swego okna, popatrzał i za odchodzącym wyciągnął język.

O punkt czwartéj zajechał wynajęty powóz przed bramę wiejskiego domu Stachowów; młody człowiek przyjemnéj powierzchowności, ubrany z elegancką prostotą wyskoczył z niego i kazał się zameldować. Był to Jegor Andrejewicz Kurnatowski.

Nazajutrz między innemi pisała Helena do Insarowa:

— Powinszuj mi, mój drogi Dymitrze, mam narzeczonego. Był u nas wczoraj na obiedzie; ojciec, zdaje się, zrobił z nim znajomość w angielskim klubie i zaraz zaprosił. Naturalnie wczorajszą wizytę nie składał on jeszcze w charakterze narzeczonego. Poczciwa mama jednak, któréj ojciec zakomunikował swe nadzieje, szepnęła mi na ucho, jakiego to rodzaju jest gość. Nazywa się Jegor Andrejewicz Kurnatowski i jest naczelnym sekretarzem w senacie. Naprzód opiszę ci jego powierzchowność: nie jest zbyt wysoki, Tyś wyższy, ale i nizkim nie jest także; rysy ma regularne, włosy ostrzyżone krótko i długie bokobrody. Oczy jego, jak Twoje, nie są wielkie, ale żywe i ciemne, usta szerokie; w oczach i w około ust wiekuisty, poniekąd urzędowy uśmiech. Zachowanie jego jest proste, naturalne; mowa jego, jak ruch każdy, jak wszystko u niego, jest wymierzoną; chodzi, śmieje się, jé z takiém namaszczeniem, jakby pełnił służbową jaką czynność.

— Jak ona go pilnie studjowała! myślisz może w téj chwili. Prawda, i to dla tego właśnie, aby ci przesłać wierny jego rysopis. I któżby nie studjował przeznaczonego sobie narzeczonego! Jest w nim coś żelaznego... i tępego i próżnego — a i uczciwego zarazem; mówią powszechnie, że w rzeczy saméj jest prawdziwie zacnym człowiekiem. Ty jesteś także żelaznym człowiekiem, ale nie takim jak ten. Przy stole siedział obok mnie, na przeciw nas Szubin. Naprzód mówiono o jakichś kupieckich przedsiębiorstwach: jest fachowym w tych sprawach, mówiono nawet, że chciał rzucić służbę aby zostać dyrektorem wielkiéj jakiéjś fabryki. Ale nie przyszło do tego. Następnie Szubin zaczął mówić o teatrze; pan Kurnatowski oświadczył, i to przyznać mu muszę, że z nieudaną skromnością, iż w rzeczach sztuki jest zupełnym profanem. Wtedy ty mi na myśl przyszedłeś... ale pomyślałam sobie: nie, Dymitra i moja nieświadomość w rzeczach sztuki jest przecież innego rodzaju. Ten, zdaje się, chce przez to powiedzieć: ja się na tém nie znam, ale to téż jest rzeczą całkiém niepotrzebną, choć w dobrze uorganizowaném państwie cierpianą. Petersburg i sfera comme il faut są mu całkiém obojętne; raz nawet nazwał się proletarjuszem. — My, powiedział, odrabiamy część grubą pracy. Pomyślałam zaraz: gdybym to usłyszała z ust Dymitra, byłoby mi przykro, ale ten może mówić co mu się podoba! niech się tém pyszni! Względem mnie był bardzo grzecznym; ale wszystkie jego grzeczności brzmiały dla mnie jak słowa niezmiernie względnego przełożonego. Kiedy chce kogo pochwalić, mówi: ten a ten jest człowiekiem zasad — i to stanowi najwyższą pochwałę. Musi mieć wiele wiary w siebie, musi być pracowitym, zdolnym do poświęcenia (widzisz jaka ja jestem bezstronna) t. j. do poświęcenia jakiéjś korzyści, ale jest wielkim despotą. Biada tym, którzy wpadną w jego ręce! Potém rozmowa przeszła na przekupstwa... — Pojmuję, mówił, że w wielu wypadkach ten który miewa poboczne dochody, nie jest karygodnym; czasami nie mógł on inaczéj postąpić. Ale skoro go tylko pochwycono na winie, musi zostać zniszczonym do szczętu.

— Jakto? Niewinnego gubić! zawołałam.

— Tak, dla zasady.

— Dla jakiéj zasady? spytał Szubin.

Nie wiem, czy Kurnatowskiego rozgniewało to pytanie, czy téż niespodzianie go tylko zaskoczyło, dość, że odpowiedział, iż to nie potrzebuje tłumaczenia. Papa, który, jak się zdaje, jest nim cały przejęty, pochwycił to słowo i potwierdził, że to nie potrzebuje tłumaczenia; na moje więc wielkie zmartwienie przerwano tę rozmowę. Wieczorem przyszedł Bersenjew i rozpoczął z nim zaciętą szermierkę na słowa; nigdy jeszcze nie

widziałam naszego poczciwego Andrzeja Piotrowicza tak rozdrażnionym. Pan Kurnatowski nie zaprzeczał bynajmniéj potrzeby wiedzy, uniwersytetów i t. d. a jednak łatwo mi było pojąć oburzenie Andrzeja Piotrowicza; tamten uważał te rzeczy za pewien rodzaj gimnastyki. Kiedy wstaliśmy od stołu podszedł do mnie Szubin i powiedział: — Ten i jeszcze jeden (nie może wymówić nigdy Twego imienia) są obaj praktycznymi, pozytywnymi ludźmi, ale przyjrzyjcie się im obu, Heleno Mikołajewno, jaka między nimi różnica: tam jest prawdziwy, żywotny, z otaczającego świata wzięty ideał, tu nie ma nawet poczucia obowiązku, tylko służalcza wierność i zręczność bez istotnéj wartości wewnętrznéj. Doprawdy Szubin jest rozumnym i to jego mądre orzeczenie zapamiętałam dla tego, aby je Tobie powtórzyć: ale cóżbyście z sobą mieli w ogóle wspólnego, myślałam? Ty wierzysz, on nie, bo wierzyć w siebie to niemożebne, a jego wiara na tém chybaby się kończyła.

Odjechał późno. Mama powiedziała mi w tajemnicy, że mu się podobałam i że ojciec jest rozradowany... Kto wie, czy nie powiedział mu nawet, że jestem kobiétą zasad? O mało co nie powiedziałam mamie, że mam już męża. Dla czego ojciec tak Cię nie lubi? Z mamą możnaby jakoś jeszcze...

O mój ukochany! Opisałam Ci umyślnie tak drobiazgowo tego pana, aby zagłuszyć mój smutek. Żyć bez Ciebie to nie żyć wcale, ja cię widzę i słyszę bezustannie... Oczekuję Cię ale nie u nas, jak chciałeś początkowo... pomyśl jakby to było trudno i niedogodnie! Ale pamiętasz ten lasek, o którym Ci pisałam... O mój najdroższy! Jak ja cię kocham!

XXIII.

W trzy tygodnie po pierwszéj wizycie Kurnatowskiego ku niewypowiedzianéj radości Heleny wyprowadziła się Anna Wasilewna do Moskwy, do swego wielkiego drewnianego domu, wspierającego się na szeregu filarów. Nigdy Anna Wasilewna tak wcześnie wsi nie opuszczała, ale tego roku jesienne zimna i to nieodłączne ich następstwo — katary, wypędziły ją przeciw zwyczajowi pod koniec lata jeszcze do miasta; życzył sobie tego i Mikołaj Artemjewicz, osamotniony wyjazdem Augustyny Chrystjanownéj, bawiącéj w Rewalu u swéj kuzynki; wreszcie za Moskwą przemawiało jeszcze przybycie zagranicznego towarzystwa, które pozwalało się podziwiać w plastycznych pozycjach — des poses plastiques, których opis w „Moskowskich Wiedomostjach“ podrażnił ogromnie ciekawość Anny Wasilewny. Słowem, dłuższy pobyt na wsi był niedogodnym, co więcéj, wedle zapewnień Mikołaja Artemjewicza, niezgodnym z jego „planami.“ Ostatnie dwa tygodnie wydały się Helenie nieskończenie długiemi. Kurnatowski odwiedził ich dwa razy, co niedzielę: innych dni był zajętym. Przybywał dla Heleny, ale najwięcéj rozmawiał z panną Zoe, któréj się téż bardzo podobał.

— „To mi człowiek“, myślała ona patrząc na jego twarz męzką, opaloną lub słuchając jego rozmów pełnych szlachetności i uprzejmości. Według jéj zdania nikogo matka natura nie obdarzyła tak cudownym głosem, nikt jak on nie umiał z całym wdziękiem wymówić „miałem zaszczyt“ lub „niewymownie mnie to cieszy.“ Insarow nie odwiedził Stachowów, ale z Heleną raz widział się w lasku nad Moskową; trwało to chwilkę, zaledwie mogli zamienić z sobą słów kilka. Szubin wraz z Anną Wasilewną powrócił do Moskwy: Bersenjew w dni kilka po nich.

Insarow siedział w swoim pokoju i czytał już po raz trzeci listy odebrane „okazją“ z Bułgarji; bano się je przesyłać pocztą.

Wzruszyły one go bardzo. Coraz to nowe wypadki działy się na Wschodzie; zajęcie księstw przez wojska rosyjskie wzburzyło wszystkie umysły; burza wisiała tuż nad głowami, czuć już było w powietrzu podmuch nowéj, nieuniknionéj wojny. W około wybuchał ogień, a nikt przewidzieć nie mógł jaką sobie obierze drogę i gdzie się zatrzyma; w imię dawnych nadużyć — długoletnich pragnień — wszystkiego, podżegano.

Insarowowi serce silnie uderzało, nadzieje jego zbliżać się poczęły do urzeczywistnienia. — Ale czy to nie zawcześnie? czy nie nadaremnie? myślał zaciskając ręce. — Myśmy jeszcze nie gotowi, ale trudno, tu nic nie pomoże już! I ja iść muszę.

Lekki szmer dobiegł go z po za drzwi, ktoś je szarpnął gwałtownie — Helena stanęła w pokoju.

Insarow zadrżał całém ciałem, pospieszył ku wchodzącéj, upadł przed nią na kolana, objął ją i głowę do jéj nóg przycisnął.

— Tyś mnie nie oczekiwał? spytała bez tchu prawie. (Przebiegła była schody pospiesznie). — Ukochany! Najdroższy! Położyła obie ręce na jego głowie i obejrzała się do koła. — Więc to tu mieszkasz? Zaraz tu trafiłam, córka gospodarza pokazała mi drogę. Przedwczoraj przyjechaliśmy; chciałam zaraz pisać do ciebie, ale pomyślałam sobie, że lepiéj będzie gdy ci to powiem sama. Przyszłam tu na kwadrans, no, wstań, zamknij drzwi.

Powstał, zamknął drzwi szybko, powrócił do niéj i ujął obie jéj ręce. Nie mógł nic mówić: radość zamykała mu usta i pierś ściskała. Z uśmiechem spojrzała mu w oczy... było w nich tyle szczęścia... Zawstydziła się.

— Pozwól, rzekła, wysuwając zwolna ręce swoje z jego uścisku — muszę zdjąć kapelusz.

Rozwiązała wstążki kapelusza, rzuciła go na bok, zdjęła płaszczyk, poprawiła włosy i usiadła na staréj sofie.

Insarow nie poruszał się z miejsca i podziwiał ją oczarowany.

— Usiądźże przecież, powiedziała, nie patrząc na niego i wskazując mu miejsce obok siebie.

Insarow usiadł ale nie na sofie tylko u nóg jej, na ziemi.

Teraz zdejm mi rękawiczki, rzekła niepewnym głosem. Mimowolnie poczęła się obawiać czegoś.

Zdjął jedną rękawiczkę i gwałtownie przycisnął usta do białéj, delikatnéj rączki.

Helena chciała go odsunąć drugą ręką, ale i tę począł całować. Helena ją cofnęła, on głowę w tył odrzucił, spojrzała mu w twarz, pochyliła się... i ich usta zetknęły się w pocałunku...

W chwilę późniéj... wyrwała się z jego objęć i szepnąwszy cicho: Nie, nie, przystąpiła do stolika.

— Przecież jam tu panią domu, przedemną nie powinieneś mieć żadnych tajemnic, rzekła, starając się nadać twarzy wyraz obojętny i odwracając się od niego. — Co za moc papierów! Co to za listy?

Insarow przybrał twarz poważną. — Te listy? wymówił powstając. — Możesz je przeczytać.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Z PRZYRODY.

Natura i filozofja zbadana.

Wykład w kolegjum francuzkiém p. Ch. Lévêque.

Historja systemów świadczy, iż wszystkie wielkie epoki myśli wytworzyły jedno z tych objaśnień metafizycznych świata — które nosi nazwę filozofji natury. Kto jest w stanie zastanowić się i zrozumieć, ten przyzna, że epoka dzisiejsza dąży usilnie do utworzenia objaśnień teoretycznych widzialnego i niewidzialnego świata.

Ta rozległa synteza nie uwidocznia się na razie, szczególnie umysłom niecierpliwym, ponieważ to zadanie nigdy nie przedstawiało tak wielkich do rozwiązania trudności, jak dzisiaj.

Dla rozstrzygnienia tego zadania, według potęgi tegoczesnych pojęć ludzkich — jest koniecznem opierać się z jednéj strony na pewnych danych nauką sprawdzonych, z drugiéj zaś strony na masie olbrzymich faktów, wzrastających z dniem każdym. Ztąd wynika dla filozofji natury ta straszna konieczność, przyjąć rezultaty nabyte do dzisiaj przez wszystkie umiejętności. Umysły poważne żywo czują zachodzące tutaj trudności, a przecież większość obstaje przy zdaniu, że to przedsięwzięcie jest możebném, a nawet koniecznem.

Jeżeli filozofja natury jest dziś prawdopodobną, to pod jednym tylko warunkiem, ażeby od téj chwili sama była narzędziem własnéj metody. Jesteśmy przekonani, że filozofja natury w ogóle i część fiolozofji nazywanéj metafizyką dotykalną, już posiada tę metodę. Spróbujmy więc określić naturę i pierwiastki.

Umysł ludzki posiada trzy wielkie sposoby tworzenia nauki, a te są: doświadczenie zewnętrzne, które śledzi i sprawdza wypadki widzialne — powtóre: doświadczenie wewnętrzne, co śledzi i sprawdza fakta niewidzialne, to jest te, które dusza chwyta sama w sobie wiedzą wewnętrzną: — a nakoniec rozum, który panuje nad jednem i drugiem doświadczeniem, dowodząc im axiomatami czyli prawdą jasną w sobie, nie potrzebującą żadnych już doświadczeń, podnosząc je zarazem swą potęgą uogólnienia, sprowadzając do jedności wyższą siłą swego syntetycznego pojęcia.

Czy filozofja natury może być zadowoloną jednem z tych narzędzi? czy też zmuszoną jest wszystkich używać? Rozważmy przedewszystkiem, czyli doświadczenie zewnętrzne, to, co nazywają spostrzeżeniem zmysłowem, wystarcza do objęcia wszechświata, a raczéj do poznania saméj materji. Są ludzie, którzy tak twierdzą; wierząc im, ten wszechświat składa się z materji i swych własności, a zmysły poznają naraz materję i własności — to, co się nazywa ciałami. Nowa fizjologja nad podziw gruntowna i głęboko dokładna zaprzecza tym roszczeniom, wykazując, że za pomocą organów zmysłowych, zamiast pochwycania saméj materji w sobie, nawet jéj własności nie pochwycamy.

Najprzód chodzi o to, ażebyśmy wiedzieli co pojmujemy zmysłami. Kiedy jakiekolwiek wrażenie w nas się tworzy, nie jest to nigdy wpływ przez czynnik zewnętrzny na nerwy zdziałany, jak to długo mniemano; trzeba się pozbyć téj idei. Nie pojmujemy nigdy zmysłami bezpośrednio wpływu, jakie jedno ciało zewnętrzne wyrwało na kończyny systemu nerwowego. Fibry nerwowe są to jednakie włókna walcowate, nitki mikroskopiczne, mające przezroczystość szkła, wszystkie jednakową substancję zawierające — w części do oliwy, w części do białka jaja dające się porównać. Gęstość ich zmienna i nie ma żadnego związku z przedmiotem funkcjowania.

We wszystkich tych fibrach stan drażliwości wywołać można zmianami mechanizmu, elektryczności, ciepłika, słowem wszystkiem co działa na jeden nerw, koniecznie oddziaływa na całą siatkę.

Według tego niepodobna twierdzić, że drażliwość doznana przez każdy rodzaj nerwów, odpowiada rodzajowi właściwemu i odpowiedniemu przedmiotów zewnętrznych. Jednakże, jeżeli nerwy są jednakie, organa z któremi się stykają są różne, drażliwość dochodząc do organów modyfikuje się przez samą naturę organu, staje się specjalną — a to specjalne złagodzenie winna, jak I. Mueller już w r. 1825 twierdzi, „tęgości czyli jędrności", szczególnie zmysłom właściwéj. A więc różnica wywartego wrażenia, należąca do różnicy drażliwości pni nerwowych, zależy wyjątkowo od różnicy organów, którym nerwy przynoszą drażliwość. Rzeczywiście więc tę modyfikację organu a nie inną zmysłowo pojmujemy. Teraz trzeba nam wiedzieć, czyli każdy rodzaj modyfikacji organów jest przystępny dla zmysłów — inaczéj mówiąc, czy każde wrażenie jest przyczyną jednych i tych samych czynników zewnętrznych, jednych i tych samych własności materji, i czy te wrażenia podobne są do tych własności. Fizjologja teraźniejsza zaprzecza temu i dowodzi, że trzeba odrzucić dawny ten fałszywy pewnik, że „jednakowe przyczyny sprowadzają jednakowe skutki" — wykazując faktami przekonywającemi, że często jednakowe poruszenia zewnętrzne wywierają odmienne wrażenia i odwrotnie: odmienne poruszenia wewnętrzne budzą jednakowe wrażenia.

Zastanówmy się chwilkę nad tym przedmiotem. Mueller wykazuje praktyką swoją, że jedna i ta sama drażliwość wywołana iskrą elektryczną, w nerwach języka obudza smak, w nerwach oka wznieca blask światła, a w nerwach ucha sensację szmeru lub dźwięku. Czy powiecie więc, że iskra elektryczna była zewnętrznie z kolei: smakiem, światłem i dźwiękiem? W takim razie jedno źródło podniecające obudziło skutki zupełnie różne, nie dające się pod żadnym względem porównać ani między sobą, ani z przyczyną podniecającą. Przeciwnie, oto przypadek, w którym różne przyczyny ekscytujące są powodem jednego skutku i jednego rodzaju uczucia. Prąd elektryczny nawet bardzo słaby, przeprowadzony przez oko, wyciska z niego błyskawice światła, równie jak uderzenie lub lekkie ciśnienie paznogciem części leżących na powierzchni oka, nawet w głębokiéj ciemności sprawiają wrażenie światła, niekiedy bardzo silnego, a jednakże żadne światło rzeczywiste, t. j. widzialne obcym wzrokiem, obudzonem nie było. Jakież więc jest podobieństwo między tém uczuciem a prądem elektrycznym niewidzialnym lub ciśnieniem paznogcia? Jakież podobieństwo znajdujemy z innego względu między temi dwoma środkami działania?

Henryk Helmholtz, który przedstawił i objaśnił te fakta, przytacza jeszcze wiele innych na poparcie, a ponieważ przedmiot jest wielkiéj wagi, czujemy się w obowiązku dodania dwóch spostrzeżeń bardzo ciekawych i zajmujących.

Fizyka wykazuje, że światło jest kołyszącym się ruchem płynu sprężystego, rozlanego w przestrzeni, który rzuca światło — co nazywamy atmosferą. Drgania czyli wibracje atmosfery rozsiewają się w formie fali, dającéj się porównać z powierzchnią jeziora, w które kamień wrzucono.

Trzydzieści lat temu jeszcze mniemano, że ciepło pochodzi od innego toku promieni jak światło — ale najdokładniejsze poszukiwania dowiodły, że ciepło i światło są jednakie; ciepło, jak również i światło jest falowatym ruchem jednéj i téj saméj poruszającéj siły, t. j. atmosfery.

Fale atmosfery są rozwlekłości nierównéj — długiéj, krótkiéj lub średniéj — są jednak zawsze falami atmosfery. Oto przyczyna, która się utrzymuje istotnie jednakową, ale czy téż wywiera na nas jednakowe skutki? Nie. Oko nasze poczuwa światło, niejako część tych wibracji promieni atmosfery. Nie jest ono jednakże wskróś przejęte zbiorem atomów atmosfery, któréj ruch rozlewa się rozwlekłemi falami — a które nazywają: „przymglonemi promieniami ciepła“ — takiemi są np. promienie, których nam udziela piec gorący, do czerwoności nie rozpalony. — W innym razie promienie, których fale bardzo krótkie, dotykają naszych ócz tak słabo, że uważamy je za niewidzialne, i te nazywają: „przymglonemi promieniami chemicznemi.“ Między promieniami o falach bardzo długich i bardzo krótkich są jeszcze promienie średnich fali; te dotykają silnie nasze oczy i zowiemy je światłem właściwém.

W stósunku do nas, widoczną jest wielka różnica między wrażeniem ciepła przymglonego, które naszą skórę dotyka, nie oddziaływując na wzrok — a wrażeniem światła, które silnie dotyka nasze oko, nie raz do oślepienia — nie sprawiając na naszą skórę uczuwać się dającéj sensacji.

Jednakże zamglone promienie ciepła i promienie światła są ruchami jednéj i téj saméj siły poruszającéj, z tą różnicą, że jedne od drugich mają dłuższe fale.

Otóż jeszcze jeden przykład, gdzie jedna przyczyna wywiera na nasze zmysły oddmienne skutki.

Również długo zostawano w błędzie wierząc w różnicę wrażeń; wnioskowano o różnicy skutków z ich przyczyn.

Nie ma więcéj światła zewnętrznego w promieniach fali średnich a w promieniach, krótkich lub długich fali; światło jest w nas samych i jest tylko modyfikacją naszego oka, rzeczą czysto podległą.

Jeszcze raz zmieńmy doświadczenia, ażeby prawda nie ulegała żadnéj wątpliwości.

Wibracje atmosfery średniego stopnia, które nasze oko dotykają i które nazywamy światłem — mają także fale różnéj rozwlekłości i ztąd powstaje różnica kolorów.

Wibracje o długich falach objawiają się nam w kolorze czerwonym, potém następują według stopniowego ubywania długości fali kolory: pomarańczowy, żółty, zielony, niebieski i fioletowy, odpowiadający najmniejszéj długości fali, mogącéj utworzyć wrażenie światła. Kolory te można odróżnić za pomocą szkła i nazywamy je kolorami pojedyńczemi t. j. niezłożonemi.

Wiemy, że te kolory łatwo przyjmują mięszaninę — a więc jest mięszanina światła, zbiór promieni kolorowych bardzo różnych, które sprawiają na błonę oka podobne wrażenie; mięszanina światła szkarłatnego i niebiesko zielonego — żółto zielonego i fioletowego — żółtego i niebieskiego — także koloru „Lapis lazuli“ — potém światła czerwono zielonego i fioletowego, a na koniec mięszanina wszystkich kolorów, o pryzmę złamanego promienia, tworzy dla oka jedno wrażenie białego koloru. —

Otóż więc bardzo różnemi przyczynami wewnętrznemi wywołana jedna senzacja i jeden skutek. Więcéj! — nie możebném jest wykazać jakiegokolwiek fizycznego podobieństwa w tych różnych mięszaninach, gdyż w nich wspólném jest tylko jednakowe działanie na oko. Takim więc sposobem można wnioskować o jednakowości czynnika zewnętrznego a aturą tegóż czynnika, jak również o jednakowości naszych wrażeń.

W obec tych faktów — powiada p. Helmholtz — czyż podobieństwem przypuszczać jeszcze, że własności naszych wrażeń, a szczególnie własności wrażeń wzroku naszego są wiernem przedstawieniem, które odpowiada własnościom świata zewnętrznego?

Cóż się staje z roszczeniem wyłącznych stronników doświadczenia, aby wprost tém doświadczeniem poznać własności saméj materji?

Zobaczymy, do czego sławny ten fizyolog, będąc także stronnikiem doświadczeń, te swoje roszczenia sprowadza:

„Każda własność lub przymiot jakiegoś przedmiotu nie jest niczém inném jak zdolnością tegóż wywierania pewnych działań na inne przedmioty.“ Ponieważ to, co nazywamy własnością, jest zapewne stósunkiem między dwoma rzeczami, a podobne działanie widocznie nie może jedynie zależeć od natury rzeczy działającéj, trzeba więc, aby to działanie również zależało od natury rzeczy, na którą skutki się wywierają. Byłoby więc niedorzecznością mówić o własnościach światła samego w sobie, o tych własnościach, któreby to światło niezależnie od każdego innego przedmiotu posiadało, spodziewając się wynaleźć te własności w wrażeniu oka.

Przypuszczenie to o takich własnościach jest mylne — gdyż coś podobnego istnieć nie może; między wrażeniem kolorów a takiemiż przymiotami światłu właściwemi zgodności nie ma. To zadanie nie jest niczém inném. Wyrok ten o wewnętrznéj wartości wrażenia, rozbierają osobno: Platon w swojéj rozprawie o wiedzy — Aristoteles w traktacie o duszy — Malebranche — Herbart i Kant. Wyniesienie tego zdania po nad wszelkie spory, będzie zaszczytem wielkiéj społecznéj fizjologji.

Układ filozofji naturalnéj, którýby nie miał innych prawideł, jak praktykę pochodzącą z naszych wrażeń, byłby czystém urojeniem i miałby tyle istotnéj wartości, co widzenie uśpionego człowieka lub warjata w szale. Odrzuciwszy wszelką inną władzę rozumu, a idąc za popędem naszych wrażeń, które nie są niczém inném jak tylko modyfikacją nas samych, zasklepiając nas samych w sobie — robią nas duchami nic nie widzącemi na zewnątrz.

Inaczéj się dzieje — jeżeli człowiek ocenia ich właściwą wartość, na mocy czego należy je przyjąć i używać, wtenczas dopiero nabierają wartości, mogąc nas czego nauczyć — jeżeli ich nie bierzemy za wyobrażenia przedmiotów zewnętrznych, z któremi nie mają żadnego podobieństwa, — ale za znaki zmysłowe pewnych własności rzeczy, które nami nie są.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

TEATR.

Teatr nasz tak nie obfituje w nowości, że zadanie sprawozdawcy jego jest trudném niezmiernie. Niejednokrotnie słyszeliśmy stawiany zarzut ten kierownictwu sceny, my mu jednak z tego nie czynimy bynajmniéj zarzutu — bo w obec apatji publiczności żal i pracy aktorów i zachodów dyrekcji. Opera jeszcze tylko lub operetka posiada magnes zapełniający, nie tłumnie wprawdzie, ale jako tako przynajmniéj salę teatralną. Dla tego nie umiemy sobie wystawić, jak nasza scena istnieć będzie mogła bez opery, jeśli wieści obiegające się sprawdzą.

W przeciągu dwóch ostatnich tygodni jednak wystawiono nową, umyślnie dla poznańskiego teatru tłumaczoną sztukę Pawła Lindau: „Marja i Magdalena", sztukę cieszącą się wielkim rozgłosem i ogromném powodzeniem na niemieckich scenach. Co jéj to powodzenie zapewnia? Kilka scen istotnie efektownych, charakter Marji Werrina, aktorki, piękny, starannie wycieniowany, choć nieco zbyt wrażliwy na zakulisowe intrygi, co mu odejmuje ten stygmat prawdziwego artyzmu stojącego po nad szpilkami codziennych małostek — wreszcie typowe w niemieckiém społeczeństwie postacie radzcy Werren i dziennikarza Schellmann'a. Ostatnia ta zaleta komedji dla nas musiała odpaść zupełnie: Schellmann'ów nie mamy nawet wśród galicyjskiego dziennikarstwa, które, jak wiadomo, najwięcéj jeszcze amatorowi skandalów przedstawia zajęcia; radzca Werren, jakkolwiek miał nieco wspólnego z parwenjuszami wszechświata, niemniéj przecież nosił na sobie czysto niemiecki odcień, przez co znacznie zmniejszał się interes widza dla téj postaci. Treść komedji, któréj zarzucićby można nieco nieprawdopodobieństwa, jest następną: córka radzcy Werren, Marja, ubłagana przez jednę z swych koleżanek, Magdalenę, pośredniczy w jéj korespondencji z młodym nauczycielem zakładu; korespondencja ta, acz niewinna, jak nas zapewnia Magdalena, ma tego rodzaju formę, że dostawszy się w ręce przełożonéj, zmusza ją do wydalenia Marji. List przesyłają ojcu, który nie spytawszy o nic córki, nie zbadawszy czy i o ile jest winną, zrzeka się jéj na zawsze i rzuca młodą a niedoświadczoną w wir świata i życia, bez środków utrzymania nawet, bo sam miljoner, przysyła jéj kilkaset talarów na drogę. Marja jest tak wysoce zacną, że z nędzy nawet wychodzi czystą. W Ameryce, do któréj niewiadomo dla czego właśnie schroniła się opuściwszy pensję, wstępuje na deski teatralne. Po latach kilku, z ustaloną już sławą, powraca do kraju i znajduje w nim takież jak za granicą powodzenie.

Ojciec jéj, ten purytanin, ożenił się w tym czasie z Magdaleną, wiodącą w swym orszaku dawnego adoratora, owego nauczyciela z pensji.

Magdalena poznaje na deskach teatru ofiarę swego lekkomyślnego kroku, żal się w niéj budzi i postanawia pogodzić ją z ojcem, co téż udaje jéj się dokonać; uznaje, że córka jego jest niewinną, skoro ją spotyka na sali balowéj panującego księcia w parze z jednym z najczystszéj krwi arystokratów. Poczciwy ojciec! O ileż większą musi być jego wiara gdy się dowiaduje, że książę, książę panującego domu zaślubia jego Marję... to jednak dośpiewuje już w swéj duszy słuchacz, bo na tém koniec sztuki. Jest tam wprawdzie jeszcze moc innych drugorzędnych postaci i drugi jeszcze epizod miłosny — ale zbyt wiele czasu zajęłoby nam opowiedzenie wszystkich tych szczegółów.

Co do gry artystów wyrazić nam wypada całe uznanie dla staranności i widocznéj w grze ich pracy. Panna Kwiatyńska rolę Marji oddała z głębokiém pojęciem i nadała téj kreacji urok poetyczny; deklamacja o zmroku w pałacu księcia była prawdziwie mistrzowsko wykończoną. Nawet tyradę utyskiwań nad nieżyczliwością publiczności i zawiścią koleżanek uczyniła nam gra p. K. mniéj rażącą. Pani Mikulska starała się Magdalenę zrobić mniéj bladą, co jéj się udało w scenie odwiedzin Marji. Radzca (p. Cybulski) byłby bardzo dobrym, gdyby nie kładł tak wielkiego przycisku na każde swe słowo, inaczéj mówiąc, gdyby więcéj rozmawiał; zbyt wielki namysł przed każdém wyrzeczoném zdaniem szkodzi djalogowi, odejmując mu potrzebną werwę; jest to zresztą błąd wspólny wielu innym naszym artystom. Pan Mikulski (książę) grał dobrze choć nieco stereotypowo, panna Biron ma pewną manjerę naiwności, która bynajmniéj nie jest naiwną a robi raczéj z uroczych niewinnych dziewcząteк najzwyklejsze gąski. — Też samą manierę zaaplikowała w roli Eli, siostry Marji. Wreszcie Laurencjusz (p. Koehler), pewien rodzaj deus ex machina sztuki, grał z widocznėm staraniem sympatyczną charakterem swą rolę. Pan Bolesławicz (Schellmann) i Zamojski (Gelz) mimo wybornéj gry nie zyskali tego uznania publiczności, na jakie sobie zasłużyli — obce bo to dla nas postacie.

Tłumaczenie sztuki staranne i poprawne, razi czasami tylko drobnemi językowemi usterkami, które łatwo usunąć można, a które czasami nawet mogą być winą artystów wyłącznie.

Staranna wystawa sztuki, piękne toalety, a po nad wszystko ensemble harmonijny — wszystko to powinno było zapewnić powodzenie „Marji i Magdalenie" a jednak — za drugiém przedstawieniem teatr był pusty.

Repertoar zresztą tych dwóch tygodni, oprócz „Halki", zawsze zapełniającéj teatr, „Galatei", w któréj p. Zamojski (Midas) wysoce mimiczną grą swoją nas zachwyca, „Flisa", w którym pp. Koziołowski i Horbowski huczne zbierają oklaski, wystawiono jeszcze „Szlachectwo duszy" Chęcińskiego, jednę z tych znanych już a zawsze budzących zajęcie komedji. I tym razem gra artystów była poprawna a całość harmonijnie wypadła. Gra p. Wernera nic nie pozostawiała do życzenia, szkoda tylko, że sarkastycznemu, nie dającemu się, jak to powiadają, zbić z tropu baronowi czasami... słów brakło. PP. Mikulska i Henemann (baronowa i Aniela) oddały swe role ze zrozumieniem, p. Mikulski (Czesław) był nieco bladym amantem, rolę hrabiego, eleganckiego myśliwego posagów, powierzono p. Nowińskiemu, na czém rola ta, zdaniem naszém, wiele straciła, grać ją bowiem powinien obyty ze sceną artysta; patrząc na Stefana, mimowolnie na myśl przychodzi nam p. Koehler. — P. Zamojski (Wilczura) jak zwykle zbierał huczne oklaski.

Dziś opera przed opuszczeniem nas, w które przecież uwierzyć nam trudno, darzy nas długo zapowiadaną „Violettą."

Literatura polska u Niemców,

bibljograficznie zestawiona

przez

Ludwika Kurtzmana.

Kopitar, B. Anti-Tartar od. Herstellung des Thatbestandes in Sachen der Wiener Editio princeps 1834. des ältesten Denkmals der poln. Sprache, nämlich des poln. Drittels des (nicht Margarethen- sondern) Elisabeth-Hedwigi'schen Psalterium trilingue. (A 1300—1370.) zu St. Florian in Oesterreich, gegen den plagiarischen Roman eines Tartaren. Als Manuscr. für Freunde herausg. v. Leberecht Hassenschelm. Stockholm (Leipzig) 1837 (Köhler.) gr. 8o.

Bolesławita, B. Der Spion. Ein Bild aus der Gegenwart, nach der Natur gezeichnet. Aus dem Poln. übers. von M. G. Autorisirte Ausgabe. Dresd. 1864. L. Wolff. 8o.

— Dasselbe soll Amalie Arndt übersetzt und dazu eine warme Vorrede geschrieben haben.

— Die Hybryden. (Hybrydy). Deutsche Uebersetzung im „Wanderer.“ Wien 1868. I und II Quartal.

Bratranek, F. Th. Dr. Parallelen zw. der deutschen und polnischen Poesie von —. In Blätter f. Litt. u. Kunst. Januarheft 1853.

— Zwei Polen in Weimar. 1829. Ein Beitrag z. Goetheliteratur aus polnischen Briefen übersetzt und eingeleitet von — Wien, 1870. Carl Gerold's Sohn. (Die 2. Polen sind Mickiewicz, Odyniec).

Brodziński, Kasimir. Wiesław. Eine Idille verdeutscht v. K. A. Schoenke. Posen. 1867. Verl. v. J. K. Żupański. 8o. poln. uud deutsch.

— Meine Recension im Mag. f. d. Litt. des Ausl. 1870. Nr. 20.

— Der Schaeferin Sehnsucht. (Gedicht) und Liebeswunde (Gedicht) übers. von A. v. Drake. — Das Kind und die Mutter, übers. von Julius Colberg. (In „Poln. Miscellen“, Warsch. 1826. Bd. I. Heft 1).

— Die Tanne. — Mutter und Kind. — Bangen. (In Nitschmann's Parnass). Frühling. (In Nitchmann's Album).

— Biographie, Br's in Brockhaus Conv. Lex. 1838.

Bronic, Adolph. Seufzer, übers. von H. Nitschmann in s. Parnass.

Brzozowski, Karl. Auf ewig. — Gute Nacht. (In Nitschmann's Parnass).

Chodźko, Ignaz. Die grosse Redoute und der Türke. Aus d. Erzählung: Die Edelsitze auf dem Antokol. — Das Ehrenfräulein. Aus d. Litthauischen Bildern. In Woycke's Sitten- und Charakter-Bildern.

Chodźko, Leonhard. La Pologne historique, litéraire, pittoresque et illustrée. Paris 1834—37. 3 vols. — soll auch in Leipzig deutsch erschienen sein.

— Kurze Biogr. Ch's in Brockhaus Conv.-Lex. 1838.

Choiseul Goufier, Gräfin Sophie, geb. Tyzenhaus. Polak na wyspie S. Domingo. Warsz. 1819. (Der Pole auf St. Domingo). Soll nach der Encyclopädie Wiślicki's französisch und deutsch erschienen sein.

Curiis, Joannes de, v. Dantiscus.

Cybulski, Dr. Die letzte Revolution Polens und die ihr vorangehende politisch-literarische Bewegung. (In Prutz's literar.-histor. Taschenbuche. 1846. S. 75—124).

Czajkowski Michael, Kirdżali, deutsch von Dr. H. Scherbel. Lissa. 1840. E. Günther. 8o, 3 Bändchen.

— Kirdschali. E. Erzählung aus dem Donaulande von — Aus dem Poln. übers. von Gustav Diezel. 3 Thle. Stuttg. 1843. Franck'sche Buchhandlung. 12o.

— Wernyhora. Der Seher aus der Ukraine. Aus dem Poln. von G. Diezel. Stuttg. 1843. 6 Thle. 12o.
(Kirdschali und Wernyhora bilden Bd. 32—40. Des belletr. Auslands von C. Spindler).

— Wernyhora. Der Seher im Grenzlande. Geschichtliche Erzählung aus dem Jahre 1768. Aus d. Poln. übers. Lpz. 1841. F. A. Brockhaus. 8o. 2 Thle.

— Der Kosakenhetman. Deutsch bearbeitet von I. P. Jordan. Lpz. 1845. C. Berger.

— Bilder aus dem Kosakenleben. Deutsch von I. P. Jordan. Lpz. 1842. C. Berger.
(Der Kosakenhetman und die Bilder etc. bilden Band 1—6 von Czaykowski's Ausgewählten Romanen. Lpz. 1842—1845. C. Berger's Buchh.).

— Nationalsagen der Kosaken. Nach dem Poln des Mich. Cz. von I. Minsberg. Glogau et Lpz. 1838. H. Prausnitz. 8o.

— Biographie des Mich. Czajkowski (Sadyk Pascha) in: Männer der Zeit. Biograph. Lex. der Gegenwart. Lpz. 1862. C. B. Lorck II. S. 187—188.

Czwalina. Von den Schulen im ehemal. Polen, namentlich im Posenschen. (Progr. des Mar. Magd. Gymn. in Posen). 1837. 4o.

Czyński. Der Bauernkönig und die Jüdin von — Uebers. von Friedr. Funck. — Frankf. a./M. 1849. Oehler. 8o. (Rec. in Bll. f. lit. Unt. 1849. Nr. 296).

Dantiscus, Joannes. De vita et carminibus Joannis de Curii. Dantisci. Diss. Leon. Czaplicki. Vrat. 1855. 8o.
Joh. Dantiskus d. ermländ. Bischofs und seines Freundes Nik. Kopernikus geistl. Gedichte. Hrsg. und übers. von F. Hipler. Münster, 1857. 8o.

Deotyma (Jadwiga Łuszczewska). Das Gebet. In Nitschmann's Parnass).

Deszkiewicz. Tempi passati. (In Nitschmanns Album).

Długosz.

Caro, Jac. Johannes Longinus, ein Beitrag zur Literärgeschichte d. XV Jahrh. Jena. 1863.

Drake, A. v. Poln. Miscellen. Warschau. 1826—27. 5 Hefte. 8o.

Dzierzkowski, Józef. Uniwersał hetmański soll 1859 von I. Segel in's Deutsche übersetzt worden sein. 2 Bde.

Feliński, Aloisius. Fürstin Radziwill. Trauersp. in 5 Abth. Frei nach dem Poln. von Orion Julius. Berl. 1831. 8o.

— Gebet für's Vaterland: Boże, coś Polskę. In der Berliner Volks-Zeitung. 1861.

— dass. in der Ostsee Zeitg. 1861.

— dass. in L. Morgenstern's: Die neuesten religiösen Nationallieder Polens etc.

Fiedler, Robert. Bemerkungen über die Mundart der poln. Niederschlesier. Ein Beitrag zur Kenntniss der poln. Dialecte. Bresl. 1844. 8o.

Fredro, Graf. Damen und Husaren. Lustspiel in 3 Aufz. Nach dem Poln. des —, von I. F. S. Zimmermann. 4o. (Both's Bühnen-Repertoir Nr. 45).
(Von den Komödien Fredro's ist „Mann und Frau“ in's Franz. und Deutsche übersetzt. „Damen und Husaren“ wurde 1834 zu Wien und Berlin deutsch gegeben. „Mädchenschwüre“ hat Anton Päumann in's Deutsche übersetzt, das „Leibgedinge“ Vinc. Thullie, und. „Nergelei und Trotz“ Poll von Pollenburg. Rogalski's poln. Lit.-Gesch.).

Garczyński, Stephan. Gegenseitiger Angriff zweier Reitercorps. — Elegie auf den Tod Grabowski's. (In Nitschmann's Parnass).

— Ein Bruchstück aus dem philos. Epos, „Wacław's Thaten“ in Joh. Scherr's Allgem. Gesch. der Lit. 3 Aufl. Stuttg. 1869.

Piwowarnia Dominialna Czarnkowska

poleca wyborne

Piwo Czeskie,

wyrąbiane przez jednego z najlepszych piwowarów Czeskich, który będąc kilkanaście lat dyrygentem najsławniejszych Wiedeńskich i Czeskich piwowarni, obeznany jest najdokładniéj z tamtejszym sposobem warzenia piwa. Piwo Czarnkowskie nie ustępuje w niczém piwom wyrabianym w Czechach, jest smaczne, czyste i zdrowe, z najlepszego jęczmienia i chmielu robione, bez wszelkich dodatków, które, jak liczne dowody stwierdzają, nadzwyczaj są dla zdrowia szkodliwe.

Zamówienia przyjmuje niżéj podpisany Zarząd.

Cena beczki w miejscu tal. 7, — 30 butelek tamże tal. 1.

Beczki, pudła z butelkami jako téż i butelki opatrzone są stemplem piwowarni, na co się uwagę Szan. Publiczności zwraca.

Czarnków w lutym 1873. (16)

Zarząd Piwowarni Dominialnéj w Czarnkowie.

Wnioski o główne i specjalne agentury

„Westy“

w prowincjach: Wielk. Ks. Poznańskiém, Śląsku, Prusach Wschodnich i Zachodnich jako téż w Pomorzu przyjmuje

Maurycy Chaskel w Poznaniu,

(54) **Subdyrektor „Westy“**

Banku Wzajemnych Zabezpieczeń na Życie.

Główna wygrana 43,500 guldenów!

Ciągnienie 14 stycznia i dni następnych, przy czém następujące **wygrane przyjdą do podziału:** 1 wygrana 43,500 fl., 1 à 17,500 fl., 1 à 9,000 fl., 2 à 3,500 fl., 5 razy 1,750 fl., 12 razy 1,000 fl., 50 razy 350 fl., 200 razy 90 fl., 1000 razy 35 fl., prócz tego dzieła sztuki wartości ogólnéj 35,000 fl.

Do téj powszechnie ulubionéj loterji kosztuje

1 cały los oryginalny . . . . 1 tal. 5 sgr.

6 całych losów oryginalnych 7 tal.

Łaskawe zlecenia uskuteczniają się za przesyłką należytości akuratnie, jako téż wszelkie szczegóły udzielają się gratis przez dom handlowy

Jan Geyer, w Frankfurcie n. Menem.

NB. Po ciągnieniu otrzymuje każdy udział mający wykaz wygranych franko i bezpłatnie, przyczém się nadmienia, że wygrane bez żadnych odtrącań w srebrze gotówką wypłacone zostaną. (41)

A. BATBIEG'O

Nowy wykład

Ekonomji politycznéj

przekładu

W. Strażyńskiego

zamiast za 3 talary 10 sgr.

dla

abonentów

Tygodn: Wielkopolskiego

za

1 talara.

Głuchota do uleczenia!

Dla usunięcia choćby najzastarzalszéj tępości słuchu rozsyłam wygodnie użyć się dający środek za zaliczką lub przesyłką 3 tal. (29)

Dr. **Fischer**, Schönhauser-Allée 134a Berlin, N.

2,000 sztuk ciężkich, nowych 3 szefl. **miechów dryllichowych** poleca tuzin po $7^5/_6$ tal. franco tutejsza **fabryka towarów lnianych**

Hugo Herrmann, Landsberg n./W.

PS. Miechy dostarczam tuzin o 2 tal. taniéj, jak gdziekolwiekbądź, ponieważ takowe każę robić w domach karnych. Przesyłka nie może być mniejszą jak tuzin. Za dobry towar daje się **gwarancją.** (53)

Odpowiedzialny redaktor i nakładca Edmund Callier. — Czcionkami drukarni Ludwika Merzbacha w Poznaniu.
W komisie M. Leitgebra i Sp. w Poznaniu.